

KAMENA

miesięcznik literacki

ROK II

№ 2

ROK II

K A M E N A

NR. 2 (12)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

15 PAŹDZIERNIKA 1934 R.

S P I S R Z E C Z Y

STANISŁAW CZERNIK	Poezi Lubelszczyzny . . .	str. 21
JAN BRZĘKOWSKI	Rewizja w imię treści . . .	„ 24
JÓZEF ŁOBODOWSKI	Sobie samemu . . .	„ 26
GRZEG. TIMOFIEJEW	Żyrardów . . .	„ 28
MAR. CZUCHNOWSKI	Z poem. „Trudny życiorys“ . . .	„ 28
EMIL BIEDRZYCKI	Z nowszej poezji rumuńskiej . . .	„ 29
TADEUSZ HOLLENDER	Przekłady z poezji rumuńskiej . . .	„ 29
KAZ. AND. JAWORSKI	Przekład „Scytów“ A. Błoka . . .	„ 32
JÓZEF CZECHOWICZ	Przekład „Nocy“ J. Horzejszkiego . . .	33
STANISŁAW PIĘTAK	Dla poematu . . .	„ 34
WITOLD KASPERSKI	Wieczór . . .	„ 36
ANTONI MADEJ	Droga do domu . . .	„ 36
	Noty . . .	„ 40

Wkładka lin. Z. W.: Kościół Rozesłania Apostołów w Chełmie

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski Wydawca: Zenon Waśniewski

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezecki

Redakcja: Chełm Lubelski, Reformacka 43. Redaktor przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Administracja: Zenon Waśniewski, Chełm Lubelski, Reformacka 15 B.

Prenumerata roczna 10 numerów 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.

Cena numeru pojedynczego 50 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



k a m e n a

miesięcznik literacki

rok II 1 października 1934 r. nr. 2 (12)

POECI LUBELSZCZYZNY

(dokończenie)

5

Następna fala przynosi przedewszystkiem Józefa Łobodowskiego. W nim zogniskował się najwyraźniej niepokój, rozterka i tragiczny chaos współczesnej młodzieży, której okres „górny i chmurny“ przypadł na czas z szatańskim okrucieństwem przeprowadzanej przez obłąkanych znachorów wivisekcji społecznej. W okresie załamывania się wszystkich podkładek normatywnych, gdy ani jedna dziedzina zjawisk nie jest wolna od wróżby upadku, tęsknota do nowych norm musiała znaleźć najsilniejszy wyraz u młodych. I wyraziła się w chaotycznym splątaniu, — w magmie, która nie posiada właściwości krzepnięcia i ciągle pozostaje w stanie płynnym i gorącym. Tragiczne pionierstwo dzisiejszego człowieka wśród „barbarzyńskiego“ chaosu. U Łobodowskiego stan „barbarzyński“ jest splotem podwójnej tęsknoty: metafizycznej i rewolucyjnej. Metafizyka poety jest wyrazem tęsknot o charakterze religijnym. Niema tu jednak związku z jakimkolwiek systemem religijnym, raczej nieubłagana wrogość w stosunku do każdego dogmatyzmu. — Ale jest niepokój metafizyczny, „wiekuiście żywa trwoga“, związana ze świadomością przemijania, końca, śmierci. Można to nazwać przedreligijnością. Łobodowski jest współczesnym odpowiednikiem vicowskiego typu poety-bogowiedza, pośrednim przykładem dla tezy, że poezja była pierwszą metafizyką, leżącą u źródeł religii: w bałwochwalstwie, wróżbiarstwie i ofiarnictwie. Trwoga metafizyczna przejawia się narazie u tego „zahukanego barbarzyńcy“ — jak się sam poeta określa — w nienawiści do symbolu najwyższej siły („i znowu budzisz mnie i wołasz rozżagwionemi w niebie wićmi“). Mit Jowisza przybiera postać negatywną, lecz wstępem do możliwości bałwochwalstwa jest modlitewna ekstaza do wody—morza („o morze przenajświętsze zmiłuj się nad nami“). Z metafizyki Łobodowskiego wyrasta jego rewolucjonizm. Te dwa zjawiska wykazują częstą łączność. Mit rewolucji zastąpił narazie poecie wszystkie religie. Jego rewolucyjność oparta na dogmacie brauninga łączy się z typowo anarchistyczną wizją wyzwalania człowieka-motyła z krępującej poczwarki dzisiejszych norm. Wprawdzie hymnem zwycięskich chamów wielbi poeta świat pracy, ale mit idącej rewolucji jest jego pierwszą, najprawdziwszą normą, — i tu leży dramat poety. Łobodowski nie stał się jeszcze poetą-bogowiedzom — jak nazwałby to Jan Baptysta Vico — nie stał się dotychczas twórcą mitu, w którymby jakby w mikrokosmosie leżał zamknięty przyszły jego świat porewolucyjny. Powiedzmy inaczej — nieokreślona wizja czasów porewolucyjnych czyni z Łobodowskiego poeetę w stanie fermentu, którym pozostanie, dopóki pierwiastków rewolucyjnych nie zrównoważy pierwiastkami konstrukcji. W poezji niema przy-

padkowości, toteż brak skłonności do konstruktywizmu uwidocznił się u Łobodowskiego nie tylko w t. zw. treści, w równej mierze obejmuje on i formę jego wierszy. Poeta stosuje przyjętą w improwizowanych rewolucjach manierę przekreślania starego świata, nieuznawania dawnych norm, przy dramatycznym jednak operowaniu zniekształconymi ale zawsze starymi kategoriami. Tak też wygląda u Łobodowskiego stosunek do starego świata czterowiersza. Poeta rozbija go, zniekształca, łamie aleksandryny na części, rewolucjonizuje, gmatwa, ale jeszcze zerwać stanowczo z tym światem nie może, jeszcze duch starej biurokracji poetyckiej nieustannie wygląda z jego wierszy, mimo reżimu małych liter i rozbratu z tradycją przestankowania. Piszemy z całym przekonaniem: — odkrycie własnego, prawdziwego „ustroju poetyckiego” jest równoznaczne z odkryciem nowego ustroju społeczno-gospodarczego, gdyż w prawie poetyckim jak w załączku leżą normy właściwe również dla innych zjawisk. Pod tym względem pionierstwo poezji jest niewątpliwe.

6

Znacznie odmiennym typem jest Antoni Madej. Należy do tych nierzadkich obecnie poetów, którzy nie poddają się niepokojom metafizycznym. Wierząc, że w każdym atomie ziemi zamknięty jest pełny sens kosmiczny, a zespół dramatycznych zjawisk, dany naszym oczom, wynika ze spełniania się wyższych nakazów, Madej zwraca się raczej w kierunku „marzeń na jawie”, szukając szczęścia dla siebie w widzialnym, namacalnym świecie, „na łonie przyrody” lub w otoczeniu najbliższych ludzi. Metafizyka jest dla niego księgą zagadnień nierozwiązalnych, regionem wielkich i niezbadanych liczb. Poeta nie widzi w swych możliwościach siły, którą mógłby mierzyć głębię bytu, i chociaż czasami nasuwa mu się tego rodzaju problemy, rezygnuje z trudu zamysłów nad nimi. Ten ton rezygnacji jest do pewnego stopnia tonem słabości, — poeta pozbawia się siły i zapędu odkrywczości. Pozbawiony tej żywiołowej siły, jaką daje poecie niepokój metafizyczny, Madej nie może również nagiąć się do zagadnień społecznych, zbyt ostrych dziś, drażniących i trudnych dla człowieka, skłonnego do łagodności i pogodnych snów. Idiosynkrazja wyraża się tu w postaci lęku przed zagadnieniem walki i ruchu społecznego, ale jeżeli poeta podejmuje zagadnienie, lęk przemienia się w zdecydowany pesymizm. Ten stosunek poety do życia, będący pragnieniem ucieczki od zagmatwań dzisiejszych w pierwotną krainę owsa i skabiozy, nie pozostaje bez wpływu na gatunek formy. Zaznacza się to w kameralności wiersza, łagodność i skłonność do pogodnych marzeń składają się w falujące zdania. Może to odpowiednio określić, nazywając mandolinowością lub srebrnodzwonkowością wierszy Madeja.

Podobny trochę do Madeja, tylko znacznie mniej wyraźny, okazuje się dotychczas Bronisław Ludwik Michalski. Wydał pierwszy tom wierszy a drugi podobno wycofał z drukarni. Wiersze jego pełne są tradycjonalizmu, którego bynajmniej nie przekreśla kult małych liter i zerwanie ze znakami przestankowania. Jeżeli jest w tych wierszach problematyka, gubi się w rozwiązalności zestawień słownych, które nie tworzą się, jako konieczne, przemyślane, jedyne zespoły, lecz jako zespoły możliwe, coś oznaczające, jednak niewyraziste i zdawkowe. Często te zespoły są ciężkie, jakby siłą wepchnięte w szereg, gwoździ uczynienia zadość forence czterowiersza. Ten rygor defilady czwórkowej wygląda na najważniejsze zagadnienie poetyckie Michalskiego. Pod wpływem takiego teroru poeta doszedł do znacznej dyscypliny. Jego wiersze śmiało mogłyby zapełniać karty dawnego „Skamandra”. W niektórych utworach próbował jednak poeta zerwać z czterowierszem. Wynik był połowiczny, zepsuty gadatliwością i brakiem selekcji w porównaniach. Przerwanie druku drugiego tomu jest chyba znakiem, że poeta dokonał gwałtownej rewizji swych poglądów na poezję.

7

Wreszcie narastający pagórek poetycki. Nasamprzód mamy na myśli Wita Kasperskiego. Skromny poeta. Cechuje go prostota doznań: brak skomplikowań metafizycznych, niema pryncypialności, natomiast szczerść wzruszeń, prymitywizm szlachetnych odruchów, naturalna filozofia

prawdy. Na tem tle wyrastają skłonności do zagadnień religijnych, które nie wynikają jednak z pobudek metafizycznych, lecz są wyrazem łączenia zagadnień społecznych z koncepcją Boga. Poeci-metafizycy, zapatrzeni w tajemnicę początku i końca, nie widzą ziemi, człowieka, religii, dogmatyki, ich poezja jest eżemś przeddogmatycznym lub naddogmatycznym. Inaczej u Kasperskiego — on zagadnienie Boga rozpatruje z punktu widzenia spraw ziemskich, między fizycznej i społecznej, szczęścia ziemskiego. W koncepcji Boga symbolizuje istotę, rozwiązującą wszelkie zakłócenia społeczne, odpowiedzialną za nie, nie umie zgodzić się z inną koncepcją. Jest to poszukiwanie i odwoływanie się do źródła idealnych norm, pragnienie sankcji dla tych norm, które zagwarantowałyby triumf prawdy i szczęścia na ziemi. Leży w tem pewien neopoganizm, coś z greckich koncepcyj o wartości szczęścia ziemskiego i podwartości „życia pośmiertnego“. W każdym razie pierwiastki religijne Kasperskiego są raczej drugostronne, poboczne, wtórne. Jak wszyscy poeci pochodzenia wiejskiego, czuje się zrośnięty z ziemią, z rolą, wszystkimi cząsteczkami swego jestestwa i te kategorie odczuwań posiadają dla niego znaczenie decydujące. Jest w tem ziarenko naturalnego programu społecznego, podświadomy nurt, stwarzający niewyzwoloną jeszcze koncepcję ustroju społeczno-gospodarczego, opartego na micie ziemi i rolnika. To nurt podświadomy, w żywiole świadomości poeta układa swą energię emocjonalną w zagonach równych, tradycyjnych, w kategoriach wczorajszych, — łąkę koncepcji treściowej nie znajduje narażone własnych form. Ale poeta posiada niepokój szukania, — początek pogłębiania koncepcji i ułożenia jej we właściwej formie.

Znacznie dalszy od dojrzałości jest Wacław Mrozowski, autor pod niektórymi względami przedwcześnie wydanych tomików. Przedstawia jednak bardzo interesującą obietnicę. Wyróżnia go świeżość tematyki, niejednokrotnie sparaliżowana przez nieświeżą skłonność do wulgarności. Świetnie zapoczątkowana nieraz koncepcja zostaje lekkomyślnie zmarnowana, zdaje się, przez pośpiech szybkiego gromadzenia bogactw wierszowanych, — czasem niesmacznie i bez powodu strywalizowana. Taksamo jest z metaforą — czasem przekonywająca i oryginalna, czasem dziecinnie śmieszna. Brak dyscypliny widać w brawurowym rzuceniu się w niezbrane gęstwiny prymitywnych form. Szablon porozrywanych bez widocznej potrzeby zdań jest manierą pozornie nowatorską, lecz równie niebezpieczną dla poezji jak szeregowanie czterowierszy.

O najmłodszym poecie Lubelszczyzny Zdzisławie Popowskim nie mogę powiedzieć. Jego tomik znam tylko z notat bibliograficznych.

8

Przy końcu tego przeglądu znowu odwołam się do cytowanego już Filipa Sidney'a. Nie zaszkodzi mieszkańcom miasta, pieczętującego się podobno frywolnym kozłem, objadającym szczerp winnej łoży, zacytować następujące zdania w dawnych czasach zwrócone do Anglików:

„...byście więcej nie sztydził z świętych tajemnic poezji, byście się nie śmiali z imienia poetów, jak gdyby oni bardzo blisko byli z tłumem spokrewnieni, ani też byście nie rzucali się na czełgodny tytuł rymotwórcy, lecz wiercie z Aristotelesem, że poeci to skarbcie starożytności, boskiem według Greków owiani technieniem, wiercie z Bembusem, że oni są wszędzie pierwszymi roznościcielami światła cywilizacji, wiercie ze Scalingerem, że... i t. d.

STANISŁAW CZERNIK

*Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę
„Kameny“ na rok bieżący (1934/35).*

REWIZJA W IMIĘ TREŚCI

W artykułach, zamieszczonych w ostatnich numerach „Kamenu“, a zwłaszcza w artykułach Czuchnowskiego, Czernika i Przybosia, przejawia się w mniejszym lub w większym stopniu i z różnych punktów widzenia podjęte żądanie rewizji stosunku do poezji w imię praw treści. Zagadnienie to nie jest mi obce. Interesuje mnie ono od dłuższego czasu. Jednej jego stronie poświęciłem kilka uwag w mej „Poezji integralnej“ (str. 18—20), a stosunek treści do tematu był przedmiotem ostatniego rozdziału tejże broszury. Zagadnienie powyższe domaga się jednak jeszcze głębokiego i wnikliwego opracowania, a przedewszystkiem postawienia na właściwej płaszczyźnie. Wszelkie próby dotychczas podejmowane dotyczyły zaledwie pewnych tylko i niezawsze istotnych stron tego problemu.

Przyczyną niepowodzeń prób rewizjonizmu poetyckiego w imię treści była nietylko sama trudność zagadnienia, ale przedewszystkiem zamieszanie pojęć, panujące w tej dziedzinie. Najgrubszym błędem było utożsamianie treści z tematem, z anegdotą. Ten błąd popełnia nawet Czuchnowski, który domaga się uspołecznionych eksperymentów w imię tematu społecznego, a mówiąc ściślej — proletarjackiego. Należy jednak jasno sprecyzować, że temat (anegdota) nie jest równoznaczny z treścią. Sądzę, że treść jest czemś istotnem (essentia) poematu i zrośnięta jest organicznie ze źródłem wzruszenia lirycznego, podczas gdy temat stanowi czysto zewnętrzny element, związany ze sferą zasadniczo różną od poezji. Dlatego rewizja w imię treści jest niezwykle pożądana, podczas gdy burzenie Bastylji w imię tematu jest szkodliwem dla poezji nieporozumieniem. Można by nawet wysunąć twierdzenie, że treść jest wtórną przeróbką tematu, przejściem między tematem, a formą. Treść jest więc pewnego rodzaju wyciągiem elementów tematowych oraz czysto psychologicznych reakcyj i ustosunkowań się poety; jest ona dopiero punktem wyjścia właściwej działalności poetyckiej, podczas gdy temat należy do zakresu prozy. Treść różni się więc od tematu przedewszystkiem tem, że zawiera element wzruszeniowy i dlatego związana jest mocno z poezją.

Po tem krótkim określeniu treści i oddzieleniu jej od tematu pragnąłbym jeszcze wyjaśnić, jak wyobrażam sobie rewizję w imię treści. W „Poezji integralnej“ (str. 19) wskazałem na możliwości, jakie mogą dać poezji substytucje treściowe i wielość interpretacyj. Niewątpliwie, istnieje jednak możność rozszerzenia zakresu poetyckiej treści, powiększania jej dotychczasowej objętości o pewne nowe elementy. Przed kilkunastu

laty rozszerzył zakres poetyckiej treści urbanizm, potem — futuryzm, a ostatnio — nadrealizm. Te wszystkie kierunki wniosły nowe elementy poetyckiej treści: miasto (urbanizm), masa i postęp techniki (futuryzm) i freudyzm (nadrealizm). Mogą go również znacznie rozszerzyć kierunki społeczne w poezji, ale pod warunkiem, iż wprowadzą nowe elementy treści, a nie anegdoty. Wzbogacenie świadomości poetyckiej o nowe wartości, zaczerpnięte z życia proletariackiego (krzywda społeczna, głód, walka itp.) może być niezwykle cennym rozszerzeniem treści poetyckiej. Nie należy jednak zapominać, że potrzebna jest praca wgląd, w przeciwnym bowiem razie grozi infiltracja anegdoty, która jest istotnym elementem artykułu czy opisu, ale nie poezji.

To rozróżnienie może znaleźć zastosowanie także w odniesieniu do poetów innej generacji np. w stosunku do romantyków. Treść narodowa u Mickiewicza była istotną treścią, a nie — tylko tematem. Jeśli się jej nie widzi, dostrzegając wyłącznie temat — można dojść do absurdów. Tak np. w czasie ostatnich uroczystości mickiewiczowskich w Paryżu jeden z dziennikarzy francuskich w ten sposób „streścił” „Pana Tadeusza” na podstawie wydanego obecnie przekładu Pawła Cezara:

„Pan Tadeusz jest romantyczną przygodą młodego litewskiego pana, dziewiczego i niecierpliwie pragnącego się wyszumieć, który w r. 1812 walczy z miłością i pewnemi lokalnemi nieporozumieniami w swoim kraju. Zachowuje się tu w tej sytuacji jak najlepiej, poluje na niedźwiedzia i zbiera grzyby, znajduje nagle metrese i narzeczoną, i widzi, nie poznając go jednak pod habitem mnicha, śmierć swego zbrodniczego i przebranego ojca”.

Te dwa zdania istotnie wyczerpują stronę anegdotyczną „Pana Tadeusza”. Francuski dziennikarz, niezwiązany niczem z epoką ani z wartościami polskiej poezji romantycznej — dostrzegł tylko temat. Nie dojrzał jednak treści.

W polskiej poezji powojennej podejmowano kilkakrotnie próby rozszerzenia treści poetyckiej. Oprócz futurystów i poetów „Zwrotnicy” i „Linji” niektórzy „skamandryci”, a zwłaszcza Wierzyński i Tuwim, — oddajmy co cesarskiego Cezarowi — w pierwszych latach powojennych wnieśli istotnie pewne wartości treściowe, wyrażając „radość z odzyskanego śmietnika”. Własne wartości wypracowali również niektórzy poeci społeczni. Zasadnicze i sprawiedliwe ustalenie tych kwestyj mogłoby być bardzo interesujące, ale trzeba by to uczynić istotnie sprawiedliwie i metodycznie, a przede wszystkim — inteligentnie. Przed kilku laty wybitny malarz i teoretyk puryzmu Ozenfant w swej

książce o sztuce zamieścił tabele statystyczne, wskazujące częstość używania pewnych wyrażeń przez niektórych poetów należących do różnych generacji. Podobną próbę w stosunku do metafor przedsięwziął u nas Czernik, ale pomieszał, niestety, plewy z ziarnem, rzeczy istotne z nieistotnymi, poetów, wnoszących pewne nowe wartości, z czwartorzędnymi naśladowcami... W tych warunkach eksperyment, pomimo dużej sumy włożonej weni pracy, nie mógł dać żadnych użytecznych konkluzyj. Gdyby jednak teraz przedsięwziąć próbę określenia tych wartości i po odrzuceniu stałych dla wszystkich epok poezjotwórczych elementów treści usiłować stworzyć podstawy pod właściwą i słusznie pomyślaną rewizję w imię treści przez ustalenie dotychczasowego dorobku w tej dziedzinie i w dziedzinie formy? Mając w ten sposób mocne oparcie, polegające na istotnem zrozumieniu obecnego stanu poezji, możnaby wtedy znaleźć właściwy punkt wyjścia także dla rewizji pojęć. Może Czernik, który rozpoczął już pewne próby w tym kierunku, zdecydowałby się narazie na przeprowadzenie przynajmniej dokładnego i sprawiedliwego inwentarza? Potem poszłoby to już łatwiej, a w każdym razie nie możnaby wysuwać gołosłownych twierdzeń i zarzutów.

JAN BRZĘKOWSKI

S O B I E S A M E M U

Wtedy gdy napłynęli na mokry tor rezerwiści,
wspomnienie czułych rąk każdy u szyi omotał,
w jesienną nudę
kapały skręcone, skrawione liście —
i w rudej, spaplanej glinie spała piechota.

Łodzią niesioną przez Arktyk
był cichy dom,
białe niedźwiedzie w nocy straszyły z ciemnych kątów, —
jak śniegu radosne płatki, grudniowym, szklistym dniom
prószyły drobne karty —
ojcowskie listy z frontu.

Lecz srebrnem dziwem wyrastał kosmaty sad,
rozwleczony na białych kasztanach
wzrok się do ziemi nie przyznał;
to wielkowiejska wiosna, siedem doniosłych lat
i po raz pierwszy poznana
w naglej zadumie ojezyzna.

Chwiejże się teraz, głowo, na wietrze chwiej!
 Podajcie dłonie sękatę, przydrożne drzewa, —
 — chrapanie zmęczonych szkap, skrzypienie szlej —
 toczy się grząskim wadołem
 nawalnych zdarzeń ulewa.

W stogach błękitna wieś. Błękit w gałęziach drzew.
 Kosy jak srebrne smyczki. Znosi sianem i miętą —
 świerszcze znużone dzwonią, —
 ognicha ruda jak krew —
 to wszystko unosisz dłonią
 ku kraty więziennej prętom.

Snami skrzydlatą głowę na oknie połącz,
 zaufaj śpiwnej nocy żalobnym trenom.
 Niosą żniwiarze w koszach ciężki urodzaj popiołu,
 ciężki jak fala twych włosów,
 milcząca w mroku, Marlemo.

A dni, któremiś się zatruł,
 stawiają swój krok coraz twardziej,
 zielona cisza domów w czerwień wybucha, —
 ciągnie nas ręka wiatru,
 jak stryk zarzucony na gardziel,
 i mamy powagę skazańców w niepewnych ruchach.

Za kilka lat obwieszczą
 przy trąb i bębnow larum
 śmierć nadchodzącą nad miasto z szrapneli wyciem;
 w oczy struchlałych mieszczan
 zguba zaświeci pożarem,
 rozplakatuje wyrok na życie.

Znowu napłyną na mokry tor rezerwiści,
 granaty wylecą
 rywalizować z gwiazdami,
 rakietą w górę wytryśnie,
 zakapie krew na kwiaty przypięte ręką kobiecą, —
 i w ustach słony, gorący smak —
 jak dobrze między kwiatami
 upaść na wznak; —

— dokoła czerwone płaty, spiżowe dzwony,
 wybuchy ziemi, trzask druzgotanych gontów, —
 i zawirują w oczach zdumionych
 nieczytywane od lat
 ojcowskie listy z frontu.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Ż Y R A R D Ó W

Rośnie piętro na piętrze i jeszcze piętro.
Pod niebo gmach wyprowadzić to zarys eposu.
Ogień, szpule szeptliwe snują się, tętnią —
nakipiał Żyrardów falami głosów.

Jak słońce—w obiegu przesila się pieniądz,
oto kolonje francuskie, duszna strefa...
W gruzach strat leży miasto, a cudzoziemiec
każe pracy i domu własnego zaniechać.

Na ruszcie dróg rozżarzonych tłum się spopiela.
Głód, ucisk mas, żużel sił — jeden układ...
Gniew wzbiera krwią i jak krew z żyły strzela,
lecz śmierć Koehlera niczego nie rozsypa.

Jeszcze Łódź i Borysław, baroni ze Śląska...
Poprzerastała nam ręce dzika żyrardowszczyzna.
Chyba świat cały jak dęby w piorunach potrzasać!..
Z otwartymi polami czeka pragnąca ojczyzna.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Z poematu: „TRUDNY ŻYCIORYS“

Jakżeż nawilga śnieg w burej olszynie!
Spada schodami las w górę jodeł.
Do wsi jodłami, rzeką i drogą
napłynię
w gniazdo kotliny dół.
Wiesz wczas cieniami dzieci wdół mknie.
Pod drzewospadem lasu, z widoku,
z białego gniazda śniegu, potoczek,
cienutką nitką do szkolnych izb.
Szkola stanęła naprzeciw dzieciom
z dymnych izdebek, z kurnych chałupiek.
Biedakom świeci białoczerwona pożoga.
W szklanym dniu zimy wrogo kuczy.
Wschodek pociągnął nitką jedwabną
pól.
Z powietrza splywa żółty, jednopromienny pajak.
Jednym promieniem w chłopski smutek.
Półnagie baki i szare zmory
rozkwitły drogi w śnieżny pąk.
Dziecięcą krzypą korytarz odebrzmiał chórem
i zbiegał
w zamieć
lekki.
Wtem z białej ścieżki
i zimowego powietrza ogrodu,
z piany różowych parasolek,
w zielonym swetrze młodzieńca pani wynikła w pąk.
I rękawiczek puch spi na oknie —
wilgotny, cichy dotąd.

MARJAN CZUCHNOWSKI

Z NOWSZEJ POEZJI RUMUŃSKIEJ

Bukiet wierszy rumuńskich, tutaj zebrany, jest skondensowanym do minimalnych rozmiarów przeglądem poezji rumuńskiej od końca ubiegłego stulecia po ostatnie lata. Zawiera on typowych przedstawicieli głównych kierunków twórczości tego okresu.

Najstarszy z nich, nie żyjący już dziś A. Vlahuta, piszący przeważnie jeszcze w drugiej połowie XIX-go stulecia, ukazuje się nam tu jako piewca niedoli chłopskiej. Jest to główny motyw jego wierszy i nowel. I nie jest on w tem odosobniony w literaturze swego czasu. Jako jeden z założycieli czasopisma „Samanatorul” (Siewca), tworzy on przejście do grupy, nadającej ton literaturze początku XX wieku przed wojną światową.

Czołowym poetą tej grupy jest Octavian Goga, wieszcz i bard Rumunów siedmiogrodzkich w walce o wyzwolenie z przemocy węgierskiej. A że naród rumuński w Siedmiogrodzie w swej przytłaczającej większości jest narodem chłopskim, przeto i Goga całem swem jestestwem tkwi we wsi. Misję swoją ten wybitny pisarz najtrafniej określił słowami: „Artysta dzisiejszy to bojownik”.

Twórcy bogatej i pięknej poezji powojennej uszeregowali się w dwa wielkie zwalczające się obozy — tradycjonalistów i modernistów. Pierwsi to kontynuatorzy idei narodowej i ludowej, pielęgnujący zarazem i doskonalący tradycją uświęconą formę, drudzy to poszukiwacze nowych myśli, a często gardzący wszelką określoną myślą i formą w poezji, uciekając w świat podświadomych instynktów ściśle indywidualnych. Z obozu pierwszego wyjęty jest sonet Mihaila Codreanu, który ten klasyczny gatunek doprowadził do wysokiego stopnia artyzmu, oraz także wiersz I. Pavelescu, wzięty ze starej tradycji ludowej. Z drugiego zaś obozu G. Bacovia jest poetą makabryzmu i nihilizmu duchowego i wegetatywnego, przypominającym niektórych symbolistów francuskich; poetka Claudia Millian posiada dar ubierania sensacji, nierzadko perwersyjnej w pełną muzyki formę.

EMIL BIEDRZYCKI

W październiku b. r. ukaza się po raz pierwszy w osobnym wydaniu polskiem „Dzieje literatury rumuńskiej” d-ra Emila Biedrzyckiego, lektora języka rumuńskiego w Uniwersytecie Jana Kazimierza nakładem „Ligi Polsko-Rumuńskiej” we Lwowie. D-r Emil Biedrzycki opracował poprzednio literaturę rumuńską w „Wielkiej Historji Literatury Powszechnej”, która ukazała się w wydawnictwie Trzaski Everta Michalskiego. Obecnie „Dzieje literatury rumuńskiej” opracowane są szerzej i wydane osobno. Do „Dziejów” dołączona będzie antologia poezji rumuńskiej. Zamieszczamy kilka wyjętych z tej antologii wierszy w przekładzie Tadeusza Hollendera, młodego poety lwowskiego.

P A R Y Ź (Paris)

Paryż śpiewa w mem oknie rytmami zmiennymi.

W chaotycznej nawale wielkomiejskiej toni...

Wysłuchany w triumfalny pęd wiecznej pogoni,

Czuję, jak serce globu w głębiach drgając drzemie.

I jestem tu jak żołnierz, słaby i bez broni,

Bity w tem mieście zgielkiem największym na ziemi,

Smagany płomieniami dotąd nieznanymi...

W hałas niosę nieśmiałość uniżonej skroni.

Odtąd dumnemu miastu na wieczność sprzedany

W niewolę — słyszę codzień dzikich głosów miljon,

Idących na mnie szumem z kopuł połączanych.

Lecz w noc, gdy miękkie cienie wpelzną pokryjomu,

A wkoło wyje wściekle potworny Babilon,

Widzę się snem w ojczyźnie, u nas, na wsi w domu.

OCTAVIAN GOGA

POEZJA RUMUŃSKA W SPOLSZCZENIU

W I C H U R A (Vifor)

I

Raz jeszcze sarknięcie przelicza Dymitr
 Dwanaście lei razem z drobnymi.
 W głowę poskrobał się raz i dwa:
 „Bo jest też tego doma i sporo,
 Nie jedna gęba, a człowiek tka,
 Żadna nie pyta, czy masz, lecz daj,
 Z kobietą dzieci jest dziewięcioro,
 Krzyczą, ty, człeku, pchaj w nich a pchaj,
 Z kamienia cisnij, a musisz mieć,
 Toć każdy w domu musi coś zjeść”.

Woły zaprzęga w sanie lipowe,
 Workiem jak czapą otulił głowę,
 Krzyż kreśli — „Pan Bóg oby cię strzegł,
 Oł, zostań, chmury idą nad siołem,
 I tegi upadł tej nocy śnieg,
 Słyszysz, jak wichher ryczący dmie?”
 — Nie bój się, nie bój, tegie mam woły,
 Z niemi w najbardziej burzliwe dnie
 Jedziesz z ładunkiem, dokąd li chcesz,
 Nie straszno z niemi, powrócę, wierz!

II

Jakbyś popłynął światy innemi,
 Nie widno nieba, nie widno ziemi,
 Dymi się w kłębach powietrzny wir,
 Pod niebo skoczył w szaleństwie białem,
 W godzinie śmierci — w pół biały kir,
 Zaprząg okrzykiem popędza człek,
 Woły drą, dysząc, śnieżyste zwały,
 Brną, zapadają, lgną w lepki śnieg.
 I one duszę mają i drżą,
 Trwożą się, tęsknią, do domu chcą.

Kto w piekło wichrów, w śnieżyste kopce
 Płyńcie wołaniem — głosy nie obce:
 „— Dymitrze!.. Ojcie!.. Nie masz cię.. Och!”
 Przez sieć zadymki widzi swą żonę,
 Dzieci i chatę i słyszy szloch...
 Jak ogień parzy ta biała dal,
 O wzdętych piersiach śniegi wzburzone
 Grzebią go w morzu zastygłych fal.
 Głuchy wał śniegu przypadł na pierś...
 Już tylko wichry oplaczą śmierć.

AL. VLAHUTA

Z B Ó J N I K — (Haidugul)

W karczmie dziwny pan
 Noce trzy pod sznur
 Pije wciąż na bóg
 Sam wśród karczmy ścian.

Broni ma nad stan,
 Bary ma jak tur,
 Skąd jest — może z gór?
 — Jeszcze jeden dzban!

Milczy karczmarz — Żyd,
 Trzęsie się aż wstyd,
 Leje win co sił,

Usługuje wmg.
 Straszny gość jak pił,
 Tak i z oczu znikł.

ION PAVELESCU

T A D E U S Z A H O L L E N D E R A

J E Ź D Z I E C — (Calaretul)

Nad widnokregiem wprost w wichrowe zwały
 Jeździec nad chmury zwichrzone wylęga,
 Znika, to znowu błyszczy w widnokregach,
 Jakby mrok gromu iskry przeszywały.
 Kimże jest jeździec olbrzymi i śmiały,
 Co lotem chmurzysk ogromnych dosięga?
 To płynie duszy mej tęsknot potęga
 Ku tobie lotem jaskółki i strzały.

I choć wie dobrze, gdzie się kres zaznacza,
 A jednak leci i z drogi nie zbacza,
 Aż w obojętność twą jak w skalne zbocze
 Z czarnych granitów — gruchnie sobą w skoku,
 Waląc się w przepaść najgłębszą twych oczu.
 — Patrz! Patrz do końca... nie odwracaj kroku.

MIHAIL CODREANU

P R Z E M I A N A — (Metamorfoza)

(Śpiew duszy rosnącej)

Dajcie mi legnąć w słońcu nagiem ciałem,
 Niech mnie wytrwale jego żar przeszywa,
 Niech mnie przetapia promień płynnobiałą
 W owoc, co w ustach słodko się rozpyływa.
 Niech mięso ciała w twardą miedź przekuwa,
 Z bólu, że błotem jestem, niech oczyści,
 Gdy się pękami po mych biodrach zsuwa,
 Z bark mych promienie migocą jak liście.

Więc się zanurzam w sypkiej plaży złoto,
 Blaskiem oddycham, w jego żarze ginę,
 Zmieniam się całą zamkniętą istotą
 W chciwie rozwartą ku słońcu roślinę.
 Jak kwiat wyrzucam pyłki moich marzeń
 W bezmiar rosnących w nieskończoność światów,
 W kres widnokregów na morskim obszarze,
 W śmierć, podchodzącą do kwitnących kwiatów.

I innym życiem zakwitam w naturze,
 Co nie narzuca więzów memu ciału,
 Na skrzydłach żaru podpływam ku górze,
 Nad plażę, w lany pszenicy dojrzałej.
 Tak tylko spełniam powołanie boże
 Ciała, co wdzięcznie ku rozkoszy dąży,
 Kwitnę i czekam na wołanie morza,
 Gdy mnie w swą głębię jak w Wieczność pogrąży.

CLAUDIA MILLIAN

O Ł O W (Plumb)

Spały głęboko z ołowianych blach
 Trumny i odzież, z ołowiu był kwiat,
 Stałem w grobowcu sam i hulał wiatr
 I brzęk szedł z koron drzew z ołowiu blach.
 I moja miłość z ołowianych blach
 W kwiatach z ołowiu spała, i u wrót
 Wołałem próżno przy trupie i chłód
 Wiał z zwisłych skrzydeł z ołowianych blach.

GEORGE BACOVIA

S C Y T O W I E

Miljony was. Nas—niezliczony rój.
 Spróbujcież tylko walczyć z nami!
 My — scytów ród. Osmalił stepów znój
 nam twarz z skrzęciami się oczami.

Powolny wiek wasz dla nas biczem trząśł.
 My niewolniczej wierni doli,
 jak tarcza staliśmy wśród wrogich ras
 Europy i Mongolji!

Stulecia długie stary młot wasz kuł
 i głuszył grzmiący huk lawiny;
 i tylko baśnią w waszych snach się snuł
 Lizbony upiór i Messyny!

Przez setki lat patrzyliście na wschód,
 niesyci z skarbów nas wywłaszczycie
 i szydząc wciąż, czekaliście, gdy głód
 wasz zaspokoją armat paszcze!

Lecz bliska chwila. Rośnie nędza lat
 i każdy dzień wciąż krzywdy mnoży.
 Nadejdzie czas, gdy zniknie nawet ślad
 po waszych rojnych miastach może.

O, stary świecie! Spłacasz życiu dań
 i jeszcze męka tobą włada.
 Zatrzymaj się, jak mądry Edyp stań
 przed sfinksem, co zagadkę zada.

Wszak Rosja — sfinks. Czy ssie ją smutku wąż,
 czy spływa śmiechem, czy posoką,
 wciąż z nienawiścią i miłością wciąż
 wpatruje w ciebie się jej oko.

Bo kochać tak, jak kocha nasza krew,
 nikt z was się dawno nie ośmiela!
 Nie wiecie wy, jak brzmi miłości śpiew —
 tej, która pali i spopiela!

Kochamy wszystko — i żar zimnych liczb,
 jak i natchnienia dar prorocy.
 Zarówno płonie nam galijski znicz,
 jak i germański genjusz mroczny...

I bliski nam paryskich ulic żar,
 weneckich mostów mrok ponury,
 i wonnych gajów cytrynowych czar,
 i tumu kolońskiego mury.

Kochamy ciało, żywą ludzką twarz
 i ciała barwę, smak i zapach...
 Czyż będziem winni, kiedy szkielet wasz
 zachrząści w naszych ciężkich łapach?

Przywykliśmy, chwytając grzywy włos,
 ogierom rączym w biegu sprostać,
 przetrzącać koniom pacierzowy stos
 i niewolnice biczem chłostać...

Więc chodźcie do nas! Od wojennych burz
w pokoju idźcie świętą ciszę!
Dopóki jeszcze czas, do pochwy nóż!
Będziemy braćmi, towarzysze!

A jeśli nie, — wypadków inny bieg,
nas również stać na wiarołomstwo.
Przekleństwem będzie was przez długi wiek
wciąż ścigać chore, złe potomstwo.

Szeroko wdał przez puszcze i przez step
przed Europą urodziwą
rozstąpił się i zobaczycie wnet
Azjatów paszcze chciwą!

Więc śpieszcie wszyscy na uralski front,
już wolny plac, gdzie wnet zatańczą
stalowych maszyn huk i dymu swąd
z mongolskich dzikich hord szarańczą.

Lecz nie będziemy już wam tarczą, nie!
Do boju nie przystąpić sami.
Popatrzmy, jak śmiertelna walka wre,
wąskimi swymi żrenicami.

Nie ruszym z miejsca, kiedy Hunnów dziec
stolice spali, krzyż znieważy
i gdy plądrując będzie głośno wyc
i mięso białych braci smażyć.

Ostatni raz — o, stary świecie, już
na bratnią ucztę pracy, zgody,
ostatni raz na ucztę bratnich dusz
brzmi alarm barbarzyńskiej ody.

ALEKSANDER BŁOK

Z rosyjskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

N O C

Nocą, pod niemą mroków strażą
miasta podobne są czarnym cmentarzom.

Pałace, banki, teatry, fabryki
zlewają się z ubóstwem ruder i nor.
Za grobem grób.
Najstarszy zaś między niemi
i najsmutniejszy — ma Bóg.

Wokół jakby skonał ludzki płacz,
jakby śmiech człowieczy wszędzie umarł.
Na ulicy pełnej martwych śladów, patrz,
żółtych liter zapłonęła luna.
Ten kościany blask i lamp i gwiazd
w nagrobkowy układa się napis.

Samotnie. Pusto.
Jedyne, co z życiem połączyć potrafił
twoje usta.

JINDRZICH HORZEJSZÍ

Z czeskiego spolszczył Józef Czechowicz

Nie po raz pierwszy odchodzisz jak zbłąkany wiatr za daleki
[wygon.
Każdy krok męcząco odmierzony w wrzącym rytmie krwi,
lunami biją o pierś lata, miesiące, dni,
zmierch ostatni w smutek dymu jak w żałosne struny czoło
[osnuł.

To był rok 1914. O kilka kroków staliście przede mną
objęci żalem, smutni w załamaniu rąk.
Wstałem i dymiąc jeszcze zduszonym marzeniem,
szedłem nawprost jak blask ku płynącym polom.
Ze mną mój pies,
tak samo jak ja oczekujący za wsią przylotu szeleszczących
[gwiazd.
Nikt z was nie wiedział, że byłem już wtedy umęczony wizją.
Wisiała wkołysana w zmierzch — długa wieś dymami cofnięta
[po las.

Uśpieni na przyzbie, zapominaliście o chłopcu,
co spaloną tęsknotę roznosząc ulicą z przemienionych topól,
jak świerszcz nad ranem w nieruchomem polu gaśł.

Lata wojny — trwożnie bije szczęk broni do płonących okien.
Krzyże w zaułkach chmur, krzyże nawprost. Serce moje było
[jak huk dział.
W nocy wypływał nade mną szary żołnierz, pod drżące ramię
[mnie brał.
Dudniły wśród sennych armatnich wozów zwycięskie nasze
[kroki.

Tak trwało, aż jednego ranka krew zastygła koło ust.
Chwiejący się i blady tuliłeś do piersi skrzydlate obłoki.
Śmiały się dzieci, gdyś gałązkę marzeń w oczach dla gwiazd
[niósł.

Zatonęły w siwym szalu snu wierzby jak w wodzie głębokiej—
w roku 25-tym wierszem po raz pierwszy potoczył się słów
[twoich szarpiący wóz.

Ach, jak bolesny jest wybuch natchnienia — płonący wzruszeń
[krzak.
Do dziś zasłaniam usta ręką, gdy mija mnie ten siwy jak szyby
[wieczór.
Dlaczegoś uderzył mnie, ojcze, wtedy obcym, palącym głosem
[w twarz?

Wspiąłem się przeciw tobie, przecięty nagłą jak łuna dumą,
i prosto w twe oczy rzuciłem ci wyzywające słowo.

Przewinęła się między mną, szesnastoletnim zbuntownym
[chłopcem, a tobą
odarta z złudzeń, w białym znieruchomieniu straszna chwila.
Upadłem pierwszy, ręce wyrzuciwszy przed siebie w piach.
Płynęły drzewa szumiąc nad strąconą w przepaść głową,
jak o czarną szybę bił głos — widziałem:
przeięty ku mnie w szorstki kamień zakrzeplą, dumną twarzą,
swego Boga i niebo wzywając na świadków,
przeklinałeś mnie długo słowami, co nie łzawią, palą.

Lasem pochylił się zmierzch,
gdym dźwignął zpowrotem na barkach ciężar szesnastu lat.
Krusząc napięte myśli jak wiatr wezbrane w żarem buchającą
[pieśń —
wzrastałem samotnie na uboczu krwią sprężoną i żyzną,
w uniesieniu padłem na twarz przed przemykającą mi przed
[oczami rozświetloną wizją.

Żalem pędzona jak pies przybyłaś do mnie i w miękkie ramy
[objęłaś mnie płaczem.
Twoje dłonie jak lilje wrosnięte w pamięć dotąd mnie jeszcze
[parzą.
Myślałaś, matko, że szukam w stawie śmierci rozdarty szaloną
[rozpaczą,
a ja dusiłem się, płonąc słowami, tętniącemi od ziemi po naj-
[wyższy obłok.

Chwiała się w przestrzeni z błyskawic jego postać.
„Ojcze, okrutny ojcze, co nie znasz innej litości prócz łez!”
Płynęły litery, zdania — zapłakałem.
Tuliłaś, mamó, do swych kolan moją nawiedzoną twarz.

W słowach są struny dni, znów szumisz, braciszku, słowami.
Dziś rok 1934. Oczy moje błyskawicami natchnień biją o zmierzch
[szyb.

Nie podamy ust dalom napełnionych łzami.
Konie, lipy przy płocie, drży ulica pod tętentem tysiąca nóg.
W aureoli z dębów i złotawych chmur moja poezja dla was
[płonie.

Pierwszy wpadam na trakt — poza mną jak obłok dymiący
[kurz z szerokich dróg.
Witaj mi, wpływająca w mój wiersz wonią wiatru i ziół,
nizinna, nieśmiertelna ziemi.

STANISŁAW PIĘTAK

W I E C Z Ó R

Oknem od olszyn słowiczy śpiew
 zieleń przetyka srebrem,
 kasztan się modli w sadzie wśród drzew,
 świec na nim nie brak.

Wiszą nad sztachet zrębem
 okiście bzu,
 jabłoń przekwita — śnieżne otręby
 leżą na ścieżce i tam i tu.

Drzewa dalekie oku
 wsparły swe grzywy o bezkształt chmur
 i płyną cicho—groźny cień gór,
 drzewa — obłoki.

Ziemia surowa pod sercem krwią dudni,
 żaby na łąkach skandują ciszę;
 serce jak czajkę trwożną — smutkiem kołyszę,
 sercu, o serce, bić coraz trudniej.

WITOLD KASPERSKI

D R O G A D O D O M U

Po chodniku idzie Staszek, mały, dziewięcioletni. W chustce matczynej dźwiga na plecach chleb. Dwa bochenki po dwa kilo. Węzeł chustki wrzyna mu się głęboko w szyję.

Obok niego, przed nim migają nogi przechodniów. Staszek nie zwraca na nich żadnej uwagi. Właśnie przemyka się dziewczynka w wysokich, zgrabnych pantofelkach. Z naprzeciwwa nadchodzi żołnierz, ma mocne, podkute buty. Po jezdni stąpa Głupi Janek. Jego drewniane chodaki kłapią o kamienie i wydają chrzęst, jak suche orzechy. Głupi podpira się kijem długim, jak laska harcerska, takim, jaki na obrazku ma św. Krzysztof, przenoszący ludzi przez rzekę. W drugiej ręce trzyma mocno worek, nabity wyproszonym po żebrach chlebem. Worek pęta się niesfornie u nóg Głupiego. Głupi okryty jest płaszczem z tysiąca łat, płaszczem, który cuchnie ogromnie.

Grad topi się. Bruk jest śliski, lodowato zimny. Staszek odrywa szybko bosc stopy od płyt chodnika. Jak sączkami podziemnymi po włóknach jego nerwów, od palców nóg wzdłuż goleni, przez piersi, po ramionach, przez całe jego ciało sączy się chłód — kropelka po kropelce.

Chłopiec przyśpiesza kroku. Mija obojętnie wystawy okienne. Nawet i księgarnia o wielkich oknach, wyłożonych barwnymi książkami, nie interesuje go obecnie, chociaż zwykle ogromnie lubił gapić się na zajmujące okładki. Mija szybko księgarnię. Zabłąkane jednak wspomnienie podpowiada mu usłużnie: — Tam leży książka, o której marzyłeś. Książka „O krasnoludkach i sierotce Marysi“. Mieli ci ją kupić. Ale teraz kto ci kupi? Kto?

Staszek wzdrygnął się. Puścił się klusem. Był już „Pod kopytkiem“. Taka śmieszna nazwa. Przypomiał sobie, co o niej mówił mu ojciec. Jak ją tłumaczył. Mówił, że dawniej tylko do tego miejsca sięgało miasto. Tutaj strażnik miejski ścigał opłatę za przyganianie na jarmark bydło. Opłatę od kopytka.

Ojciec.... Myśl chłopca urwała się trwożliwie. Zasepiło się jego oblicze. Pochylił jeszcze niżej głowę. Przyśpieszył kroku.

Tam po drugiej stronie jezdnii znajduje się pracownia rzeźbiarza-kamieniarza. Tam przystawał wiele razy, gdy chodził do miasta. Wiele razy przyglądał się pracy kamieniarza. Śledził z zapartym tchem, jak rozumne ciosy jego dłota kuły w kamieniu twarz świętka, anioła lub Chrystusa. Teraz chłopiec nie chce patrzeć w tamtą stronę. Odwraca głowę. Ale choć nie patrzy, tyle razy widziane obrazy same stają mu w oczach.

Widzi: zaraz z frontu stoi nagrobek marmurowy, na którym Zbawiciel Świata ugina się pod brzemieniem krzyża. Zmąciły się myśli chłopca. Zawirowały. Pracownia kamieniarza przypomina mu bowiem sprawę, której nie chciałby nigdy pomyśleć, nigdy wypowiedzieć. Pamięć Staszka nie może zatrzeć jednak żywego wspomnienia, nie może wymazać tego, co się stało w domu. Uporczywa myśl narzuca się gwałtem. Krąży dokoła. Jest tuż, tuż, blisko. Wyrazny stuk młotka i kucie dłota przywołuje ją ustawicznie.

Brzemie chleba zaciężyło chłopcu, jak ciężar nieznośny, jak ciężar nie do udźwignienia. Zahuczało mu w głowie. Serce zabiło mu gwałtownie. Z chaosu doznań wyłoniła się wreszcie ta prawda, o której chłopiec wiedział, że się już spełniła, z którą jednak nie mógł się dotychczas pogodzić: ojciec umarł...

Staszek zatrzęsł się, zadygotał. Pod obuchem tej rzeczywistości zakręcił mu się w oczach świat cały. Było mu tak, jakby go ktoś niezmiernie mocny, siłacz wielki, chwycił w mocarną dłoń, zmiał i cisnął precz. Staszek bezwolnie posuwa się teraz naprzód. Przechodzi popod namiotem gęstych kasztanów. Wśród szerokich, pierzastych liści rozpierają się najeżone owoce. Jest ich tysiące. — Będzie, co otrząsać we wrześniu, — nasuwa mu się myśl daleka.

Pamięta. Tamtego roku nazbierał tyle kasztanów. Scyzorykiem ojca wycinał z nich różności: koszyczki, stołeczki, grzybki. Aksamitne, brunatne kulki takie były wabiące, przyjemne. I teraz jeszcze poprzez upłyniony czas, poprzez błękitne dni uśmiechały się do niego przyjaźnie tamte dawne kasztany, których już nie było. Uśmiechały się także i te, które dopiero będą, które w tej chwili nabierają kolorów w chybotliwych, przytulnych kołyskach łupinek, zawieszone wysoko nad jego głową wśród więzi zielonych liści. Staszek mija powoli ostatni kasztan. Jakże chętnie pozostałby tu. Ale nie, musi iść.

Z lewej strony, z blachy nad piwiarnią krzyczy teraz ku niemu napuszony, pozłocisty kogut. (W tej piwiarni nieraz przesiadywał z ojcem) Kogut rozdziawił szeroko dziób, przewrócił oczy, czerwony jego grzebień jakby się trząsł na czubie głowy. Wygląda to tak, jakby kogut wyzywał chępliwie: — Chodźcie i oglądajcie mnie. Chłopiec nie ogląda go. Nie może. Z ciężkimi myślami wymija chyłkiem piwiarnię „Pod kogutkiem“.

Droga biegnie lekkim spadem w nizinę. Grad topi się zupełnie. Jest bardzo ślisko. Drobne palce nóg Staszka wczepiają się kurczowo w kamienie i błoto gościńca. Z boku na bok przesuwają się na plecach tłumok z chlebem, popycha chłopca wprzód. Staszek musi się mocno trzymać, aby nie upaść.

Już jest na trzecim kilometrze za miastem. Po obu stronach drogi rozciągają się pola. Stoją na nich kopki żętego zboża. Grzędy kapusty i buraków zielenią się. Pachną mocno przydrożne jabłonie i grusze.

Staszek podnosi głowę. Wzrok jego błądzi przez krótką chwilę po zagonach, wreszcie zatrzymuje się na białym, ledwie widocznym domku. — „Dziadówka“ — wyrwały się z ust Staszka zduszone słowa. Twarz jego ściągnęła się boleśnie. Kąciki ust drżały nerwowo. Tutaj w tej karczynie, „Dziadówką“ zwanej, znalazła matka Staszka skłutego nożami jego ojca. W zwadzie pijackiej śmiertelnie ranny — umarł dzisiaj rano.

Umarł... Staszek nie odpędza już myśli o śmierci ojca. Nie ma na to siły. Wlecząc się powoli. Ledwie podnosi ciężkie jak olów nogi. W głowie ma pustkę. Wargi mu spierzchły. W ustach czuje suchość dokuczliwą. Skurczony język potrąca bezwolnie o rozdzwonione zęby. Chłopiec z trudem skręca na prawo i zaczyna się piąć pod niewielką górę. Za tą górą cegielnia i jego dom.

Ale przejście tej niewielkiej stosunkowo przestrzeni, oddzielającej go od domu, stało się dla niego zadaniem prawie niemożliwym do wykonania. Węzeł tłumoka wrzyna się coraz

głębiej w krtani Staszka. Chociaż obiema rękami podciąga ku przodowi chustkę, ciężar chleba nie umniejsza się nic a nic. Staszek przygarbił się, przygiął ku ziemi. Chleb jest chyba tak ciężki, jak ta góra, na którą się wspina. — Muszę tam dojść, muszę — zaciął się. — Dopiero na górze pod rozłożystym dębem siadę i odpocznę — obiecuje sobie — i pełza mozolnie, bezustanku. Ostatnie kroki robi ledwie żywy. Oto wreszcie zbawcze drzewo.

Zdejmuje toboł z ramion, kładzie go na ziemię. Nogi same uginają się pod nim. Dyszy głośno. Rzuca się pod dąb śmiertelnie znużony i zapada w stan ogólnej niemocy i odrętwienia. W jego oczach gmatwiają się wszelkie zarysy przedmiotów, w sercu kłębią się wszystkie doznane przeżycia, z głowy wszelka myśl o otaczającym świecie ucieka na dno świadomości.

Jak długo tak leży, nie pamięta. Silniejsze ponad wszystko uczucie głodu, bo od rana nic nie jadł, otrzeźwia go. Staszek podnosi się, siada, machinalnie wyjmując kęs chleba, dodany mu do wagi, rozłamuje go i wkłada do ust. Chleb wydaje mu się gorzki, dziwnie gorzki. Chłopiec uświadamia sobie, że powinien zaraz iść, bo tam w domu na ten chleb czekają trzy młodsze siostry, równie głodne jak on. Czekają matka, która go po chleb do miasta wysłała, matka bezradna z rozpaczą i żalem po śmierci ojca.

Staszek nie może, nie ma jeszcze siły wstać na nogi. Żuje powoli gorzki chleb. Ale im dłużej je, tem coraz wyraźniej, coraz oczywiście odczuwa, że w pierś jego wpływa nieprzerwany strumień bólu i żałości.

Chłopiec staje się bezradny. Błędne jego oczy krążą płochliwie dokoła. Z tej strony góry widzą przekłętą karcznię „Dziadówkę“, a z drugiej — wysoki komin cegielni. Właśnie wyszło zachodnie słońce z poza chmur. Pierwszy jego promień drasnął smugę dymu wylatującą z komina. Dym zaiskrzył się, zafalował złością. Z nieba zaczęły schodzić chmury na dobre. Słońce już się nie chowało, świeciło coraz jaśniej. Wilgotne, miękkie światło zalało już całą cegielnię, wszystkie dachy i dom, w którym Staszek oczyma duszy widział na katafalku umarłego ojca.

Jak błyskawica poraziła go ta wizja. Zerwał się i ruszył pędem w ostatnią część swej drogi do domu.

ANTONI MADEJ

N O T Y

NUMER LWOWSKI „SYGNAŁÓW” jest piękną zdobyczą tego sympatycznego miesięcznika. Reprezentuje on chwalebnie dorobek kulturalny Lwowa w dziedzinie literatury, nauki i sztuki. Na treść zeszytu złożyły się utwory pisarzy starszej generacji (nie zabrakło nawet ineditów Kaspro-wicza i Womeli) i najmłodszych. Rażą nieobecność Stefana Grabińskiego i zbyt skąpo reprezentowane kolumny ubrańska i żydowska. Z braku miejsca już lepiej było ograniczyć się wyłącznie do spraw kultury polskiej, tem bardziej, że „Sygnały” mają już za sobą specjalny numer ukraiński i zamierzają wydać żydowski. Z przykrością należy stwierdzić, że Tadeusz Hollender, jeden z wybitniejszych sygnalistów i dotychczasowy redaktor pisma, wystąpił z zespołu „Sygnałów” i w numerze „lwowskim” już nie wziął udziału.

NUMER 39 „PIONU” zawiera wyjątkowo ciekawe pozycje: interesujące rozważania K. Irzykowskiego na temat awangardy poetyckiej w Polsce, piękny poemat J. Łobodowskiego „Tryptyk barbarzyński”, uwagi M. Piechala na marginesie wstępu i komentarzy Piniego do zbiorowego wydania pism Norwida oraz niepozabawiony pewnej słuszności, choć prze-jaskrawiony, feljeton Skińskiego o niektórych współczesnych piórach kobiecych w Polsce.

„TRUDNY ŻYCIORYS” MARJANA CZUCHNOWSKIEGO — to ambitna próba stworzenia współczesnej epopei chłopskiej w przełomowej dobie załamania się gospodarki kapitalistycznej. Próba śmiała, z której Czuchnowski, o ile można sądzić z oszczędzonych przez rękę cenzora fragmentów, wyszedł naogół ręką obronną, starając się przewyciężyć wrodzony liryzm, dymiący jednak nieraz poprzez siłace się na przedmiotowość, nabrzmiałe uczuciem wiersze. W szeregu szybko zmieniających się, migawkowych obrazów daje nam poeta przekrój życia dzisiejszej wsi małopolskiej: rozpaczliwą nędzę najemników, roślinność „średniaków” i beztrocki żywot garstki bogaczy. Widzimy chłopą w różnych okolicznościach jego bytowania: przy pracy w cegielni, kamieniołomach, mleczarni, tartaku, podczas zabawy w karczmie, w czasie strajku i w walce, w życiu miłosnem. Tego ostatniego za wiele może. Poznajemy niektóre charakterystyczne typy wiejskie np. ks. proboszcza, wójta, przodownika policji i t. d. Całość składa się na niezmiernie ponury i przygnębiający obraz. Trudny jest życiorys dzisiejszej wsi polskiej, jak trudny jest życiorys jej piewcy. Ale trudny wielokrotnie jest i sam poemat. Nieoczekiwane przenośnie, liczne skróty, elipsy miejscami uniemożliwiają szaremu czytelnikowi, nieotrząskanemu z metaforyk dzisiejszej awangardy, zrozumienie treści utworu. A przecież właśnie ten szary czytelnik, a nie garść „fachowców” — poetów i kawiarnianych snobów, czytać „trudny życiorys” swej wsi powinna. Na większej klarowności poemat zyskałby bezwzględnie. Orientację utrudnia nieraz bardzo indywidualnie stosowana interpunkcja. Mimo tych nasuwających się zastrzeżeń „Trudny życiorys” jest niewątpliwie jedną z najciekawszych pozycji tegorocznych w zakresie poezji.

L. GOMOLICKI, młody poeta rosyjski, przebywający w naszej stolicy, wydał poemat p. t. „Warszawa”. Utwór ma charakter wybitnie elegijny. Tęsknota emigranta za Rosją znajduje tu silny wyraz w takich np. zestawieniach: pomnik Poniatowskiego — „Jeździec miedziany”, Łazienki — Carskie Sioło. Siebie poeta nazywa puszkimowskim Eugenjuszem, dla którego „świat to wrogi sen”. Poemat zawiera wiele pięknych fragmentów, ale wpływ Błoka nazbyt widoczny. — kaj —

NAKŁADEM TOWARZYSTWA NAUKOWEGO W TORUNIU wyszła jako odbitka z tomu IX „Zapisków Tow. Naukowego w Toruniu”, praca Stanisława Dąbrowskiego, znanego w kołach artystycznych miłośnika sztuki, zwłaszcza ludowej, na temat: „Portale, bramy i sienie toruńskie XVII wieku”, str. 44 i 32 tablice. Zbiegło się to z 700-leciem Torunia, któremu autor i Towarzystwo Naukowe w Toruniu tę pracę dedykują.

Brak miejsca nie pozwala, niestety, na obszernie omówienie tej ciekawej książki, zwracamy jednak uwagę na staranną szatę zewnętrzną, doskonale, wyczerpujące objaśnienia, dobre fotografie, może tylko za mało rysunków, któreby znacznie lepiej wyjaśniały intencje autora i ewentualne zawiłości tekstu, niż najlepsze nawet odbitki bromosrebrne.

— zw —

ERRATA

Djablik drukarski zniekształcił w 1 nr. „Kamieny” tytuł artykułu Marjana Czuchnowskiego, który właściwie brzmi: „Od estetyzmu do proletariatu”. W tymże ma być „o całą epokę”, a nie „epoką”. Usterka drukarska zmieniła również w nocy bibliograficznej tytuł jednego z artykułów Czuchnowskiego, który zamiast „Treść odpowiedzi” brzmi poprawnie: „Sześć odpowiedzi”.

P I S M A N A D E S Ł A N E

Biuletyn Polsko-Ukraiński Nr. 70 — 74
Dziennik Urzędowy Kur. Okr. Szk. Lub. Nr. 2(66)
Front Polski Zbudzonej Nr. 11 — 26
Miecz Nr. 17 — 20
My, ks. 3 (lato)
Nazustricz Nr. 17 — 18
Państwo Pracy Nr. 33 — 38
Pion Nr. 35 — 39
Polonista, zes. 3 — 4
Wici Wielkopolskie Nr. 2(29) — 8 (35)
Wieś, jej pieśń Nr. 10
Zet Nr. 11(59) — 13(61)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. S. B. w POZNANIU. Z uprzejmie nadesłanych nam wierszy zatrzymujemy w tece „Dobranoc” i „Księżycową łaskę”.

P. J. Z. w PŁOCKU, P. S. S. w KIWERCACH, P. A. G. we LWOWIE i P. J. B. w WALERJANÓWCE. Nie skorsystamy.

P. P. H. w WARSZAWIE. Dziękujemy za przekłady z niemieckiej poezji, część zamieścimy w najbliższym czasie.

P. J. L. w RÓWNEM (lub w WARSZAWIE). Dziękujemy. Zatrzymujemy w tece „Pożar od pioruna”.

P. S. P. w LUBLINIE. Za artykuł o poezji serbsko-chorwackiej dziękujemy. Narazie nie jest aktualny. Może przyda się później.

CHEŁM LUBELSKI